

**Olaf Osica**

## **FAŁSZYWY MOTYW I SŁABE PAŃSTWO**

### **POLITYCZNE ASPEKTY UDZIAŁU POLSKI W OPERACJACH MIĘDZYNARODOWYCH**

W styczniu 2009 r. rząd przyjął *Strategię udziału sił zbrojnych w operacjach międzynarodowych*. Po kilkunastu – nie licząc okresu sprzed 1989 r. – latach doświadczeń w misjach pod egidą ONZ, NATO, a ostatnio UE oraz w formule „koalicji chętnych” decydenci posiadają zatem nareszcie dokument pokazujący, jak wpisać misje wojskowe w szerszy kontekst polityki zagranicznej państwa.

Strategia rządu jest po prostu „instrukcją myślenia”; przewodnikiem po problemach, które należy wziąć pod uwagę, zanim prezydent, premier lub minister ogłosi w świetle kamer decyzję o wysłaniu oddziałów lub odmowie udziału w operacji. „Stopień i geograficzne obszary zaangażowania – czytamy w dokumencie – muszą być wypadkową aktualnych możliwości Sił Zbrojnych oraz jasno zdefiniowanych celów politycznych, zbieżnych z polską racją stanu (...) oraz wyrażającą się w działaniach na rzecz umacniania międzynarodowej pozycji Polski”. Decyzja o wysłaniu wojska ma zaś być „wypadkową analizy kryteriów: politycznego, prawnego, militarnego oraz finansowego i stanowi element świadomie wybranego przez organy władzy państwowej celu strategicznego RP”. Istotnym skutkiem uczestnictwa sił zbrojnych w operacjach „powinno być osiągnięcie korzyści naszego zaangażowania”, czyli zapewnienie adekwatnej reprezentacji w strukturach decyzyjnych i dowódczych oraz uzyskanie korzyści politycznych poprzez wzmocnienie pozycji państwa na arenie międzynarodowej.

Dokument ten można czytać jako wyraz przyszłych celów i ambicji Polski związanych z używaniem wojska w działaniach poza terytorium państwa i tzw. obszaru traktatowego NATO. Można go jednak – i jest to zdecydowanie bardziej interesujące – również odczytać w kontekście przeszłości: jako podsumowanie wszystkich błędów i grzechów popełnianych przez politycznych decydentów, kiedy postanawiali oni użyć wojska jako zbrojnego ramienia polityki zagranicznej państwa.

Podstawowym problemem, który rzuca się w oczy przy obserwacji polskich wysiłków na frontach wojen o prawa człowieka, przeciwko terroryzmowi czy w imię bezpieczeństwa sojuszników, jest fałszywy motyw: głównym celem jest „działający”, a nie samo „działanie”. Ten rys polskiej polityki sięga naszej historii, kiedy udział u boku Napoleona czy aliantów był narzędziem odzyskiwania niepodległości. Nawet na frontach II wojny światowej, kiedy Polska i jej sojusznicy mieli

wspólnego wroga, kwestia pokazania się z dobrej strony partnerom była ważniejsza niż racjonalne wykorzystanie własnych przewag. Margines negocjacji z sojusznikami był wówczas wprawdzie wąski, ale nieumiejętność budowania trwałych i rzeczywistych, a nie retorycznych zależności stanowiła autentyczny problem.

Po 1989 r. hasło „niepodległość” zastąpiono hasłem „członkostwo”. Skromny udział polskich jednostek w operacjach na Bałkanach był przede wszystkim sposobem udowodnienia przemian w siłach zbrojnych, zbliżaniem nas do kryteriów sojuszu, a następnie uwiarygodniania się w oczach partnerów. Zakończenie okresu kandydowania i pojawienie się w debacie postulatu upodmiotowienia Polski jako czynnika konsolidującego ucieczkę ze wschodu do świata zachodniego zmieniło stosunek elit politycznych i społeczeństwa do udziału w operacjach. Przełomowy był w tym względzie Irak. Operacja u boku USA okazała się wehikułem przenoszącym politykę Polski z epoki akcesji do okresu świadomego członkostwa. Hasło solidarności z sojusznikami zostało uzupełnione, a niekiedy nawet wyparte przez postulat realizacji interesu narodowego jako kryterium podejmowania działań wojskowych poza obszarem traktatowym. Nastroje opinii publicznej i polityków przesunęły się w stronę oczekiwania większej wzajemności ze strony sojuszników. Ta nowa postawa była racjonalna, nadawała bowiem działaniom politycznym konkretny wymiar i ułatwiała ich ocenę. Niestety – używana jako argument w walce politycznej – szybko uległa prymitywizacji. Od dość naiwnej wiary, że wystarczy być dobrym i wiarygodnym partnerem, aby po upływie czasu zostać wynagrodzonym, dyskusja przesunęła się w stronę równie naiwnego przekonania, że polityka polega na prostej wymianie przysług.

Z błędu koncentracji na „działającym”, a nie „działaniu”, wynikły dwa inne problemy. Po pierwsze, niechęć do poważnego zaangażowania się w trudną sytuację danego rejonu – Bośni, Kosowa, a później Iraku czy Afganistanu. Los stabilizowanych przez nas obszarów nie był nam wprawdzie obojętny, ale z pewnością nie mobilizował do przejęcia części politycznej, nie mówiąc o gospodarczej odpowiedzialności za sytuację na miejscu. Tak jak spora część innych sojuszników przekazywaliśmy ją w ręce „wspólnoty międzynarodowej”, wiedząc, że działające w jej imieniu organizacje nie potrafią rozwiązać większości problemów. Stąd niewspółmiernie mały, w porównaniu z zaangażowaniem wojskowym, udział we wspieraniu projektów cywilnych; finansowaniu odbudowy lub tworzeniu infrastruktury.

Drugi problem ilustruje stwierdzenie, że wysyłając wojska, Polska nie kierowała się interesami, tylko zasadą solidarności z sojusznikami. Jest to stwierdzenie nie tylko prawdziwe, lecz także zasadne. Wyprowadzanie jednak z niego wniosku, że Polska nie ma ochoty prowadzić interesów w regionach stacjonowania swoich jednostek, jest już zupełnie czym innym. Jest po prostu pozbawione racjonalności, przeczy bowiem samej idei używania siły zbrojnych jako narzędzia polityki zagranicznej państwa, czyli wchodzenia w nowe obszary współpracy i budowania pozycji międzynarodowej.

Dokonany na irackiej pustyni przeskok Polski z roli proszącego o akceptację Kopciszka do roli ambitnego gracza miał w dużej mierze charakter wirtualny. Dotyczył w większym stopniu zmiany dyskursu niż poprawy skuteczności państwa.

Niewydolność struktur, brak koordynacji, działanie pod wpływem pojedynczych impulsów i nacisk na medialną oprawę działań skutecznie uniemożliwiają Polsce wybicie się ponad przeciętność. Cechą szczególną pozostaje także niechęć do uczenia się: traktowania porażek jako wstydlivych epizodów, a nie lekcji, które trzeba odrobić zarówno w wymiarze intelektualnym, jak i instytucjonalnym. Te zjawiska kładą się cieniem na wszystkich politykach: od budowy autostrad, poprzez reformę edukacji i zdrowia, a skończywszy na reformie armii. Nie może być zatem mowy o racjonalnym zarządzaniu potencjałem militarnym Polski, wyzyskaniu jego względnej przewagi w polityce zagranicznej bez zmiany działania państwa jako takiego, bez odejścia od przekonania, że misje wojskowe są operacjami ministra obrony narodowej, a nie całego rządu i prezydenta; że reforma sił zbrojnych jest domeną ponownie MON i Sztabu Generalnego, a nie problemem dotyczącym tożsamości społeczeństwa i politycznej organizacji państwa. Tak jak budowa autostrad jest nie tylko problemem Ministerstwa Infrastruktury, lecz także kwestią infrastruktury obronnej, nie warto zatem budować tanio i byle jak.

Wobec braku całościowego spojrzenia na operacje międzynarodowe zarówno od strony własnych instytucji, lokalnego kontekstu działania, jak i interesów politycznych i gospodarczych każdy wysiłek wojskowy będzie jednorazowym wkładem do „sojuszniczego kotła”, po którym zostanie jedynie uczucie własnej wyższości i żalu do partnerów. „Kto daje bez ograniczeń, ten daje dwa razy więcej” – przekonywał jeden z polskich ministrów, deklarując zwiększenie kontyngentu w Afganistanie i rezygnację z tzw. *national caveats*. Czas przyznał mu rację, ale w sposób całkowicie sprzeczny z jego intencją. Nie udało się zwiększyć obecności infrastruktury Sojuszu w Polsce. Porażką okazało się nawet zbudowanie klimatu dla większego zaangażowania NATO w sprawy bezpieczeństwa regionu, czego przykładem była reakcja na wojnę w Gruzji. Z kolei budowanie zależności między *out-of-area* a *in-area* okazuje się zabiegiem retorycznym, niemającym nic wspólnego z faktyczną polityką Sojuszu. Polska przegrała też starania o stanowisko szefa Komitetu Wojskowego NATO, a wybór Polaka na nowego sekretarza generalnego NATO również wyduje się poza zasięgiem.

Znalezienie sposobu na przełamanie negatywnego trendu jest jednym z najważniejszych wyzwań debaty politycznej. Dotyka ono bowiem źródeł słabości państwa, które wbrew retoryce nie tylko gra poniżej swojego potencjału, lecz także trwoni kapitał zaufania społecznego, o szczupłych zasobach nie wspominając. Rozwiązaniem na pewno nie jest obniżenie ambicji, wycofanie się z obecności w różnych rejonach świata i zamknięcie w perspektywie regionalnej, nawet jeśli za region uznamy obszar Unii Europejskiej. Bez udziału w globalnej grze nie ma szans na odniesienie sukcesów w instytucjach, które prowadzą globalną politykę. Na pewno potrzebne jest uporządkowanie zaangażowania, konsolidacja zasobów i priorytety, a zatem świadoma rezygnacja z obecności w jednym miejscu, aby móc realizować długofalową politykę w innym. Polityka zagraniczna musi być zatem oparta na projektach, a nie pustym haśle obecności w świecie. Dopiero wtedy zaangażowanie sił zbrojnych stanie się integralnym elementem świadomych działań państwa na arenie międzynarodowej, a nie funkcją zaangażowania organizacji, których członkiem jest Polska.



Wiele wskazuje niestety na to, że rok 2009 nie przyniesie pożądanego przełomu. Kilka tygodni po przyjęciu wspomnianej na wstępie strategii rząd zdecydował o ograniczeniu udziału we wszystkich misjach wojskowych z wyjątkiem Afganistanu i Kosowa. W praktyce decyzja ta sprowadza się do nieprzedłużania misji w Czadzie, a także na Wzgórzach Golan i w Libanie. Sam pomysł przyjrzenia się zasadności utrzymywania wspomnianych kontyngentów jej sensowny. Obecności na Bliskim Wschodzie nie potrafią od lat wykorzystać politycznie, a powód wysłania wojska do Czadu przypominał przypadek iracki z Francją w roli USA.

Kontekst tej decyzji oraz sposób zakomunikowania jej opinii był jednak kuriozalny. W roku objęcia władzy przez nową administrację USA, początku przeglądu strategii sojuszu (a także wyboru sekretarza generalnego NATO) oraz koncentracji sojuszników na przegrywanej wojnie w Afganistanie, Polska ogłasza wycofanie się z jednych misji nie po to, żeby wzmocnić swą obecność w innych, lecz dlatego, że minister finansów w ciągu kilku tygodni zmienił prognozę gospodarczą. Nie pojawiają się żadne argumenty polityczne, nie słychać też, jak w związku z tym Polska zamierza odnieść się do nowego otwarcia w relacjach atlantyckich. Jakich innych, pozawojskowych, inicjatyw można się spodziewać, aby pozostać w grze?

W takiej sytuacji dokonanie krytycznej analizy dotychczasowego zaangażowania w misje jest nie tylko niemożliwe, ale chyba po prostu pozbawione sensu. A same doświadczenia zebrane na przestrzeni ostatniej dekady – pamięć o tym, jak nie należy się angażować lub jakich problemów uniknąć – to za mało, aby unikać tych samych błędów, przełamać inercję myślenia i wyjść poza utarte schematy i pojęcia.